

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 38. Warszawa, d. 17 (4) Września 1904 r. **Rok III.**

JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Zwolniony ruch śruby i przebieganie majtków nad głową obudziły nas nazajutrz rano.



Japońska śpiewaczka uliczna.

Odsunąłem firankę i wyjrzałem przez iluminator. Wchodziliśmy do zatoki: w odległości kilkuset sążni wznosił się wysoki brzeg, na którym rozrzucone były, jeden nad drugim, jakieś domki osobliwej architektury, tonące w zieleni, koło brzegu stały łodzie żaglowe, a w oddali widać było duże miasto. Było to Nagasaki.

Parowiec stanął i wkrótce podpłynęła do niego szalupa parowa z japońskim urzędnikiem celnym i dwoma lekarzami. Gdy celnik przeglądał papiery, lekarze dokonywali badania wywołanej na pokład załogi i podróżnych. Nie była to, zresztą czynność skomplikowana: każdy z lekarzy brał za ręce odrazu dwa indywidua i badał puls, poczym przechodził do następnych osób i tak aż do skutku. Była to ostrożność, zaprowadzona ze względu na niedawne zawleczenie do Nagasaki cholery, która w chwili naszego przyjazdu dopiero słabnąć zaczęła.

Po dokonanych oględzinach i odjeździe urzędników, statek nasz ruszył dalej i wszedł do portu właściwego. Obszerną zatokę otaczały wysokie wzgórza, a na zboczach ich amfiteatralnie rozrzucone było miasto, duże miasto o nizkich domach, szarych, płaskich dachach i rzędach drzew pomiędzy domami, nad którym ciągnęły się dalej zielone lasy i pola. W porcie stało kilka statków wojennych: amerykańskich, niemieckich i włoskich,

na którymś z nich muzyka grała pobudkę ranną.

Zaledwie zarzucono kotwicę, parowiec otoczyło mnóstwo łodzi, a pokład zajął tłum japończyków: przekupniów, portjerów hotelowych i przewodników, proponujących swoje usługi z żywą giestykulacją i w językach najrozmaitszych: angielskim, rosyjskim i francuskim... Wybraliśmy „Nagasaki-Hôtel" i wkrótce nasze rzeczy przeniesiono na „sampana", t. j. łódkę hotelową, z małą kajutą pośrodku. Na brzegu urzędnik celny, nie żądając rozpakowania rzeczy, nakleił na walizki nasze białe kartki, a po upływie kilku minut wchodziliśmy już po stopniach szerokiej werandy do „Nagasaki-Hôtel", ładnego, trzypiętrowego gmachu na wybrzeżu samej zatoki.

Był to hotel czysto angielski i podobno najlepszy w Nagasaki. Za 8 jen (jena=98 kop.) otrzymaliśmy duży pokój z kompletnym całodziennym utrzymaniem dla dwóch osób. W porównaniu do szalonych cen i braku najmniejszych wygód w hotelach np. Charbina była to cena niewygórowana. Po roztasowaniu się w nowym mieszkaniu i przebraniu się, wyszliśmy na miasto.

Przed hotelem stał szereg riksz w granatowych, krótkich koszulkach i obcisłych spodniach, długich do kostek lub też nie dochodzących nawet do kolan. Szerokie, w kształcie grzyba, kapelusze słomiane, obciągnięte płótnem i zaopatrzone w numer, oraz słomiane sandały, stanowiły stały ich uniform. Na widok nas kilku z nich ruszyło galopem z miejsca i otoczyło nas półkolem, zapraszając do swoich zgrabnych karetek. Nie przyjęliśmy



Chata japońska na skraju lasu bambusowego w okolicy Nagasaki.

ich usług, chcąc się przejść; długo więc szli za nami, coraz to zmniejszając w łamanym języku rosyjskim opłatę, którą w końcu zniżyli do 15 sen (sena — niespełna dwa grosze) za godzinę.

Wybrzeże, na którym stał nasz hotel, było dzielnicą hotelową wogóle i miejscem zamieszkania europejczyków. Tu znajdowały się konsulaty, oddziały banków, ajentury żeglug, świątynie katolicka i prawosławna, bary amerykańskie, restauracje i t. d. Po przejściu mostu, przerzuconego przez kanał ze stojącą cuchnącą wodą, weszliśmy dopiero do właściwego miasta japońskiego.

Ulice wązkie, wyłożone płytami kamiennemi, domy piętrowe, drewniane, większość sklepów otwartych, jak nasze kramy, nie brak jednak i magazynów na sposób europejski, z przepyszną wystawą za oknami. Na ulicach ożywienie ogromne. Japończycy w ciemnych, szlafrokowatych „kimono", najczęściej z obnażoną głową, pokrytą krótko ostrzyżonemi włosami, lub w europejskich „melonikach", ożywionych u młodych szerokim jedwabnym pasem „obi", wszyscy w drewnianych lub słomianych sandałach, snuli w rozmaite strony. Od stąpania tysięcy nóg, obutych w sandały, rozlegał się klekot charakterystyczny, nie tłumiony turkotem dorożek i wozów, bo poza rikszami niema innych ekwipaży w Nagasaki. Przez cały czas pobytu mego nie widziałem tam konia, i tylko rzadko spotkać można objuczonego wołu, cicho stąpającego w słomianych trzewikach, któremi ma pokryte kopyta.

Zastanawia również na ulicy mnóstwo spotykanych dzieci. Z za kołnierza przynajmniej każdej czwartej ze spotkanych japonek sterczy główka dziecięca, często drzemiąca. Oprócz tego mnóstwo dzieci bawi się na ulicy, siedzi w kucki obok rodziców na matach w sklepie, lub idzie z książkami do szkoły. Być może, iż takie wrażenie otrzymałem, przybywając bezpośrednio z Mandżurji, gdzie dzieci prawie nie widać, z powodu zwyczaju, wzbraniającego kobietom - chinkom pobytu w tym kraju. Stosunek przechodniów do dzieci jest sympatyczny: nie widziałem tam spędzania ich z drogi, ani tuzania, co się u nas tak często spotyka.

Chcąc wydostać się na wzgórze, aby stamtąd objąć okiem całą panoramę Nagasaki, zawróciliśmy w jedną z bocznych ulic, pnących się w górę. Dzielnica handlowa wkrótce się skończyła; koło nas ciągnęły się szeregi domków mieszkalnych, zaludnionych przez uboższą ludność miasta. Porozsuwane ściany z cienkich deseczek lub ram, oklejonych papierem, dawały nam możność oglądania wewnętrznego urządzenia tych mieszkań, bardzo zresztą nieskomplikowanego, bo, z wyjątkiem kuchni, reszta składała się z pokoików, wyłożonych czystemi matami i—zupełnie próżnych. W bardzo wielu, zresztą, stały na podłodze w wazonikach kwiaty, najczęściej chryzantemy.

Po wyjściu za miasto, znaleźliśmy się wśród pól i — cmentarzy. Co kilkadziesiąt kroków, wśród grząd z warzywem, spotykało się małe ogrodzenie, a w nim tkwiące słupki i płyty kamienne z napisami, kwiaty na grządkach i w wazonach. Były to widocznie groby rodzinne; myśl urządzenia ich na własnym polu, na wzgórzu, panującym nad miastem i zatoką, była ładna. Pomiędzy grobami a grzędami rosły pierzaste palmy i pinje o płaskich koronach, urozmaicając wspaniały krajobraz.



Stary cmentarz japoński, górujący nad miastem Nagasaki, z którego roztacza się piękny widok na zatokę.

Wprost pod nami było morze dachów, schodzących coraz niżej, aż nad niebieską zatokę, popstrzoną białemi sylwetami pancerników i ruchliwą masą punktów-łodzi. Zielone wzgórza opasywały zatokę, czyniąc przerwę w tym miejscu, gdzie zatoka łączyła się z nieskończonym morzem. A nad tym wszystkim unosiło się niebo, błękitne niebo południa, rozświetlone słońcem i odziane nad horyzontem białemi, koronkowemi obłoczkami.

Koło obserwatorjum astronomicznego, wzniesionego na szczycie wzgórza, zatrzymaliśmy się rozmyślać, w którą się stronę udać. Z chwili tej skorzystał jakiś japończyk i po rosyjsku zaproponował zaprowadzenie nas do Moghi, pobliskiej wsi nadmorskiej. Znajomość języka rosyjskiego śród ludności miejscowej tłómaczy się tem, że w Nagasaki w ciągu lat kilkudziesięciu stała rosyjska eskadra Oceanu Spokojnego, zanim nie owładnięto Portem Artura. Dotychczas w Nagasaki znajduje się główny szpital tej eskadry, dokąd wysyłani są, w razie choroby, marynarze rosyjscy, a jedna z części miasta nosi nazwę rosyjskiej, gdyż zamieszkiwały ją w owym czasie żony marynarzy.

Przystaliśmy na propozycję przygodnego przewodnika i ruszyliśmy naprzód. Droga wiodła przez pola warzywne, na których pracowali mężczyźni i kobiety w białych chustach na głowie, opielając grzędy lub okopując je motyką. Do pola przytykał spory gaj bambusowy, w którego cień zanurzyliśmy się chętnie, gdyż słońce listopadowe dopiekało mocno. Drobne, jasnozielone liście bambusów, przypominające liście naszej wierzby, i zielone, lśniące ich pnie wytwarzały półcień łagodny, tak odmienny od mroku naszych borów. Za gajem stała chatka, pokryta trzciną, a przed nią duży czworobok kamienny, coś jakby ołtarz, czy też pomnik. Przewodnik nie umiał objaśnić jego znaczenia.

Wkrótce wyszliśmy na szosę, łączącą miasto z Moghi. Mój Boże, co to za szosa! Równa jak stół, czysta jak dróżka w parku, przewijała się białą wstęgą śród krajobrazu ładnego jak dekoracja. Był tam i las sosnowy, i kępy drzew pomarańczowych, i kakisy z czerwonemi i miękkiemi jak pomidor owocami, i palmy, i bambusy. Droga szła ciągle w dół, brzegiem parowu, na dnie którego szemrał strumyk. Tam, gdzie las zanikał, widniały pola ryżowe, zajmujące tarasami zbocza gór, otoczone wałami z gliny dla zatrzymania wody; ale o tej porze już suche i pokryte tylko ścierniskiem ryżowym.

Jeszcze kilka zawrotów i przed nami błyska woda — to morze, a nad brzegiem jego — Moghi, duża osada z hotelami i przystanią parowców.

— „Jeść, przedewszystkim jeść!"

Syci widoków, czujemy gwałtowną potrzebę posilenia się czymś bardziej realnym. Poprzez wązkie i niezbyt czyste uliczki osady, brzegiem zatoki, po której brodzą półnagie dzieciaki (w listopadzie!), prowadzi nas przewodnik do „Nagasaki-Hôtel". Wchodzimy na piętro do dużego pokoju, wysłanego matami i zastawionego kilku stołami. Rozsuwamy ściany i moc powietrza i słońca zalewa pokój. Po chwili wchodzi kilka „mus-me" — dziewcząt-służących; z których jedna mówi po angielsku. Zamawiamy szynkę na zimno, rostbeaf na gorąco i piwo: *menu*, niezbyt harmonizujące z otoczeniem, ale głód o tło mało się troszczy.

(*C. d. n.*)



LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Ale i druga strona ma również obrońcę-komika. Ten stara się być jeszcze zabawniejszym, pobić na każdym punkcie rywala, ośmieszyć jego samego. Jeżeli to mu się uda, wygrywa sprawę. Następują narady, wyrok, ogłoszony i zwykle wykonany bez apelacji. Czasem jednak strony nie przystają na wyrok, lecz wyznaczają nowy termin w innej miejscowości i ze zmienionym, t. j. powiększonym, kompletem sędziów. Świadkowie są przy każdej sprawie i robią zeznania. Obecni, gdy sprawa kończy się zgodą, są podejmowani przez stronę wygrywającą wódką i jedzeniem.

Z owego to kraju Bakundu, t. j. z jego stolicy Bakundu - ba - Nambelek, Rogoziński i Tomczek rozpoczęli exploracje w głąb kontynentu i odbyli trzy podróże, oprócz mniejszych wycieczek, przedsięwziętych dla poznania kraju, w różnych kierunkach.

Pierwsza podróż miała na celu przekonanie się o charakterze odkrytego w r. 1877 przez misjonarza angielskiego Combora—jeziora Balombi-ba-Kota i poznania drugiej stolicy, Bakundu-ba-Musaka. W wycieczce tej udało się oznaczyć górny bieg głównego przypływu rzeki Mungo, nazwanego Mały-Mungo. Rzeka ta tworzy, o 12 mil od stolicy, około miasta Bobei, wspaniały wodospad.

Druga podróż wprowadziła towarzyszy moich w zupełnie nowe kraje. Tym razem szło o zbadanie górnego Mungo i dotarcie do jego katarakt.

Przeszedłszy miasto E'kumbe-ba-Berange, napotkali, w odległości 10 mil na północo-wschód, miasto Eliki, którego mieszkańcy, na widok nieznanych białych istot, pierzchnęli w wielkim popłochu. Po pewnym dopiero, dość długim, czasie, zbliżył się, ośmielony podarkami, drżący kacyk. Inni, widząc, iż mu się nic nie stało, powoli podsunęli się bliżej, przypatrując się ciekawie i co chwila wydając głośne okrzyki podziwu.

Za miastem Eliki rozpoczynają się pierwsze progi Mungo. Dalsza droga prowadziła po wschodniej stronie rzeki. Po przejściu łańcucha gór Kange, schodząc po wschodnim ich skłonie, spostrzegli potok, spływający z licznych, ze skał wytryskujących, źródeł. Był to tajemniczy dotychczas początek rzeki Jabjang v. Abo, jednej z gałęzi rzeki Kameruńskiej.

Przeszedłszy dalej wiele miast, z których ważniejsze: Balombi-ba-Kange i Baku, znaleźli się podróżnicy w ważnym punkcie handlowym, stolicy Mokonje. Jest to wielkie miasto, centralny punkt handlu kością słoniową, dostarczaną na targi Mokonji z głąbi kontynentu. Panuje tu sędziwy król Mdaibe tytularnie, bo w rzeczywistości rządzą miastem chciwi balongczycy. Opanowali oni, podobnie jak przy ujściu Mungo kameruńczycy, cały handel, nie dopuszczając innych plemion. W każdym mieście mają swego rezydenta, dla kontroli i utrzymania swego wpływu. Były więc do przewidzenia trudności i przeszkody, jakie będą stawiali białym, których zawsze podejrzewają o ukryte cele handlowe. Towarzysze chcieli zrobić próbę i przejść Mokonje bez zatrzymywania się. Ludność bojażliwa stała zdumiona, nie śmiejąc stawiać oporu. Lecz, na nieszczęście, podówczas w mieście byli obecni naczelnicy balongscy, Akama i Massango; ci podburzyli swoich ludzi, za ich przykładem poszli inni i w jednej chwili gromada dzikich, złożona blizko z 1000 osób, zagrodziła podróżnikom drogę i zmusiła do powrotu.

W domu kacyka zebrali się balongczycy i miejscowi wybitniejsi krajowcy, reszta otoczyła dom i rozpoczął się t. zw. „palawer".

Po długich, gorących rozprawach, udało się wreszcie przekonać podejrzliwych handlarzy, iż „mukara" nie przybyli po kość słoniową lub olej, lecz dążą do spadających wód, t. j. katarakt, aby je obejrzeć. Wtedy początkowe groźne okrzyki zamieniły się w przyjazne i odbyto zwykłą ceremonję zawarcia pokoju. Ceremonja ta odbywa się w sposób następujący:

Przed domem królewskim zbiera się cała ludność miasta i ustawia, formując koło, w pośrodku którego zasiada biały, na przeciwko zaś niego kacyk miejscowy. Ten ma przygotowany pewien twardy, gorzkiego smaku i czerwonego koloru owoc, znany przez krajowców „maki" a przez anglików *cola*. Otóż kilka ziarn w formie orzecha dużego, z owego owocu podaje kacyk gościowi, który, potrzymawszy owoc chwilę, składa go znów na dłoni kacyka. Na-

stępnie przynoszą drobnych orzeszków „kassu” i sporą ich ilość wysypują przed białym. Każe się wtedy podzielić owe orzeszki na trzy równe części. Jedną z nich otrzymuje kacyk, próbuje zaraz, na dowód, iż nie trucizna, drugą przeznacza—dla otaczającego ludu, trzecią—dla gościa. Następuje ogólne gryzienie i... przyjaźń zawarta.

Na ogólne prośby kacyków, karawana była zmuszoną przenocować w Mokonji. Wnętrze chaty królewskiej, przeznaczonej na nocleg, nie było zapraszającym. W pośrodku stał czarny bożek, wyciosany z drzewa, w postawie skaczącej. Słupy domu oraz ściany ubrane czaszkami nieprzyjaciół lub skazanych na śmierć za czary; niektóre stare już, okopcone dymem, inne świeże, pomalowane gliną.

Następnego dnia karawana, już bez przeszkód, wyruszyła dalej, dążąc do Mambaudy, miasta, około którego miały być katarakty. Podejrzliwy Massanga, bojąc się, aby biali nie posunęli się zbyt daleko w głąb kraju, dodał, niby honorową eskortę—20 mokończyków.

Przybywszy do Mambandy po bardzo uciążliwych drogach, towarzysze przekonali się, iż zostali oszukani, gdyż w miejscu tym nietylko nie było katarakt ale nawet rzeki Mungo. Kacyk miejscowy, Aboa, słyszał o spadającej wielkiej wodzie, lecz w stronie innej—około miasta Kumba.

Po krótkim odpoczynku, pomimo intryg eskorty i przewodnika, udali się w dalszą drogę i dopięli celu, gdyż przed zachodem słońca stanęła karawana w olbrzymim mieście Kumba. Na widok białych ludzi wybuchnął tam szalony popłoch... Kobiety zatarasowały drzwi domów, mężczyźni uciekli do lasu, tylko starzec-król, Aua, nie mogąc zapewne uciekać pozostał przy drzwiach swego domu. Chociaż trząsł się ze strachu, lecz przyjął podaną sobie rękę i zaprosił do wnętrza chaty. Widząc, to krajowcy poczęli również zbliżać się powoli; ciekawość przemogła wreszcie i napełnili tak chatę, że powstał tłok prawdziwy. Kacyk Aua potwierdził, iż niedaleko od miasta rzeczywiście znajduje się wodospad, lecz dróg do niego niema. Okolica ta bowiem to siedlisko złych duchów.

Natychmiast podróżnicy udali się we wskazaną stronę, co widząc, krajowcy rzucili się całą masą i, uzbrojeni w długie noże, „kotlasy”, torowali niemi drogę śród gąszczy, przez które coraz wyraźniej dolatywał silny łoskot i szum. Nagle, po przez zarośla, ukazały się masy wód, oświetlone promieniami zachodzącego słońca, spadające z 7 skalnych tarasów i tworzące wielką, pochyłą przestrzeń wód szumiących, pokrytych białą pianą, lub rozbijających się o skały na miljardy kropel... Wspaniały widok i osiągnięcie celu wynagrodziły trud podróży.

Nie ograniczając się na tym odkryciu, towarzysze postanowili próbować dotrzeć dalej do tajemniczego jeziora Mbu, czyli słoniowego, o którym opowiadali krajowcy. Król kumbajski, Aua, odradzał im to wprawdzie, twierdząc, iż w tej porze roku, t. j. we wrześniu, dojście do jeziora jest niemożliwe z powodu wielkich stad słoni, które w różnych kierunkach przebiegają sąsiednie lasy. Przestrogi sędziwego Auy okazały się aż nazbyt prawdziwe. Z dzienników Rogozińskiego i Tomczeka podaję tu urywki, tyczące się tych podróży.

„Dnia 16 września zrana wyruszyliśmy z Kumba. Całe miasto poszło za nami do rzeki. Bito w bębny, grzechotki i krajowe dzwony drewniane, śpiewano, tańczono, słowem, okazywano nam wszelkiemi sposobami największą przyjaźń. Przejście przez progi Mungo było nieco trudne, lecz, przy pomocy krajowców, dostaliśmy się bezpiecznie na drugi brzeg. Droga prowadzi przez plantacje murzyńskie i wyżyny, zarośnięte 12 stóp wysoką trawą. Dalej napotykamy kilka strumyków, spadających ze skał i dążących ku głównej rzece. Wstępujemy następnie w gęsty las. Napotykani krajowcy straszą nas mnóstwem słoni, które ma dążyć ku nam...

Słowa krajowców okazały się wkrótce aż nadto prawdziwemi. Nie minęło i pół godziny, gdy las cały zdawał się drżeć pod nadchodzącym stadem potworów, poruszających powietrze rykiem, którego żadne pióro oddać nie potrafi. Tysiące trąb nie zdołałyby tak wstrząsnąć atmosferą! Ludzie struchleli... Stanęliśmy, niemal wstrzymując oddech.

Trzeba było wyśledzić kierunek stada. Podjął się tego pewien murzyn. Jak żmija, prześliznął się on przez zarośla i przytłumionym świstem miał ostrzedz o niebezpieczeństwie. Wreszcie dał się słyszeć cichy świst, niby syk wężowy... Niebawem ukazała się w krzakach twarz powracającego Muella. Oczy jego błyszczały, nozdrza drgały rozszerzone, pierś falowała gwałtownie.

— Wszędzie!—szeptał...—„Widziałem ich tu, tam i tam”—rzekł, wskazując trzy różne strony.

„Wszędzie ich pełno, pędzą tu, jak wielka, nieprzerwana woda”.

Przygotowaliśmy karabiny, choć one nie mogły być żadną obroną. Muelle, zapytany o najbliższe miasto, wskazał na zachód: „Tam—odparł murzyn—tam leży Ekumbe-ba-Wandżi, ono najbliższe!”

Ruszyliśmy szybko w tym kierunku, nie było bowiem czasu do namysłu i miejsca do wyboru. Las zalany już był słoniami. Bez szelestu prześliznęliśmy się wśród gąszczu. Wtym na nowo zagrzmiały ryki olbrzymów i znów przybiły całą karawanę do ziemi, nabawiając nieopisaną trwogą. Nagle zatrzeszczały drzewa i krzaki i w tej chwili ukazało się ogromne stado olbrzymów, bijących to w prawo to w lewo trąbami, to znów podnoszących je z rykiem w górę.

Na widok ten karawana rzuciła się w tył... Zapanowała wrzawa piekielna: pośpieszne wystrzały karabinowe i rewolwerowe, dym, krzyki krajowców napełniały powietrze, lecz... zostaliśmy ocaleni! Słonie krzyżowały tylko naszą drogę, a przestraszone wrzawą, zostawiły nas w spokoju i znikły z drugiej strony drogi w walących się pod ich stopami zaroślach.

Odetchnąwszy i nabiwszy broń na nowo, zaczęliśmy się posuwać naprzód. Minęła godzina marszu... Wtym z lewej strony rzuciła się ku nam nowa część falangi. Tym razem słonie dążyły za nami. Z nowym więc krzykiem rozproszyła się karawana, lecz i teraz szczęśliwie nikt stratowanym nie został. Jednego z murzynów brakowało z początku, lecz i on nadbiegł wreszcie, bardziej martwy niż żywy z przestrachu, dostał się bowiem pomiędzy stado, które przeszło naokoło niego.

Drogę do jeziora naturalnie zgubiliśmy i, dopiero po kilku godzinach marszu, stanęli na plantacjach miasta Ekumbe-ba-Wandżi, a krótko przed zachodem słońca, w nim samem."

(D. c. n.)

PIOTR LOTI.

 # I N D J E. 

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

W kostnicy dzisiaj było dużo kobiet starych, zwiniątek kości i łachmanów: to babki opuszczone, którym wymarły całe pokolenia, z głodu — wiadomo,—a które ułożyły się tu z rezygnacją, by czekać na swoją kolej; te niczego już nie pragną, nie poruszają się nawet; tylko oczy duże, otwarte mieszczą w sobie cały bezkres smutku i rozpaczy. A kruki z góry, usadowiwszy się na gałęziach drzew martwych, nie spuszczają z nich wzroku, czekając, kiedy *spełni się godzina.*

Najwięcej atoli, więcej niż innych dni, było dziś dzieci. Och! te drobne ich postaci, jakby zdumione ogromem niedoli i opuszczenia, patrzące na was z dołu z wyrazem wołania!... Przystawaliśmy przy nich; opatrywaliśmy najbardziej wycieńczone, nie mogąc wszystkich opatrzyć, bowiem legjon tu cały... Małe główki osłabłe, małe główki osadzone na wątłych skielecikach, które już ich dźwignąć nie mogły; podnosiliśmy je łagodnie i tuż do rąk waszych dziecięce te główki staczały się z ufnością, zamykając powieki, jakby do snu pod naszą strażą. Czasami widzieliśmy, że pomoc udzielona była już za późno; często atoli niewinne te upiorki stawały na nogi i z otrzymaną monetą w piąstce wlokły się do przekupnia ryżu, po zakup jadła.

Boże wielki! Tak niewiele potrzeba i tyleż prawie, co nic, kosztuje, by drobiazg ten nie zamierał. *)

Po wyjściu z tych wrót różanych — dwie mile (francuskie) ruin, zanim się wejdzie w szczerą pustynię okolicy; w ogrodach martwe, bez końca rzędy kopuł, świątyń, altan z kamienia ażurowego, gdzie dziś siedlą się tylko zastępy małp, kruki i jastrzębie. I tak samo tu wszędy w okolicy wszystkich miast tego kraju: ziemia, pełna pamiątek, wszędy tu zawalona puścizną uroczną społeczności zamierzchłych.

Nigdzie ani śladu pól uprawnych, to się wie, a w wioskach, przez muchy nawiedzonych, ani ducha żywego.

Gdyśmy doszli następnie do podstawy góry, krainy złomów czerwonych, rzekłbyś, że wszędy zarzewie tu płonie; nawet w cieniu każdy powiew suchego wiatru tworzy na licu oparzelizny. Z roślinności tu—nic więcej prócz wielkich kaktusów martwych, szpiczastych; wszystkie skały najeżone ich kolczastemi pałkami. A dwaj moi

*) Pokarm indjanina, składający się z owoców, kosztuje zaledwie 4 kop. dziennie!

przewodnicy harcują z tarczami u boku, z lancą z lewej strony, tacy, jak dawniejsi wojacy Bahadura lub Akbara.

Słońce—choć piąta po południu — bryzgało nam w oczy, gdyśmy wreszcie ujrzeli przed sobą ten wązki wyłom, który daje dostęp do całej doliny zamkniętej Amberu; wrota straszne tworzą jedyne przejście; za niemi tuż zaraz—starożytna stolica.

Skrajem, wyłożonym taflami, po których ślizgały się nasze konie, pod górę, wjechaliśmy ku pałacowi królewskiemu, całemu z głazu i z marmuru, który panuje tu dumnie na skałach, mając pod sobą resztę wszystkich ruin.

Zrazu na wstępie, na jednym z pierwszych zakrętów drogi, idącej w górę, napotykamy świątynię, czarną i wstrętną, z podłogą zbrukaną odwiecznemi plamami kruż, cuchnącą wyziewami zdechłych bydląt, starym szlachtuzem; w głębi świątyni, w niszy, rezyduje straszydło Durga, mała i prawie bezkształtna boginka, z wyrazem gnoma złośliwego, przyczajona pod fałdami czerwonego łachmana; u stóp jej spoczywa tam-tam, tak olbrzymi, jak koło młyńskie. Od wieków już przestano tu zarzynać każdodziennie wraz z zorzą kozła, przy dźwiękach tam-tamu olbrzymiego, by złożyć bogini w ofierze krew ciepłą w naczyniu bronzowym i głowę rogatą na półmisku. Jaką drogą przedostała się do panteonu bramińskiego, z mianem małżonki boga śmierci, ta Durga, ta straszna Kali, ta spragniona krwi, że nawet tu, w tym kraju, gdzie od tysięcy lat wzbronione jest zabijanie, niedawno jeszcze składano jej ofiary z ludzi? Skąd pochodzi ze swym płaszczem krwawym, z jakich czasów ubiegłych i z jakiej nocy?

Na różnych piętrach drogi, którą przebywamy, otwierają przed nami bramy bronzowe, nabite olbrzymiemi ćwiekami. Potem porzucamy konie, by dalej pieszo się wspinać, poprzez podwórce, wschody, ogrody.

Sale marmurowe, z przysadkowatemi kolumnami, drobiazgowo i dziko przybrane; sklepienia, niegdyś wyłożone najzmudniejszą mozaiką ze szkiełek, drobinkami lustrzanemi, iskrzą się jeszcze miejscami, pod pleśnią i osadem, jak ściany grot stalaktytowych; drzwi z drzewa sandałowego wykładane kością słoniową. Zbiorniki wody, wysoko zawieszone, zachowały jeszcze odrobinę wody, tak drogocennej; wanny, w skale drążone, dla dam haremowych. A pośrodku wszystkiego — ogród wiszący, bardzo ogrodzony, na którym ukazują się ciemne komnaty, siedziby niegdyś królowych, księżniczek i wszystkich piękności, tu zamykanych. Stuletnie drzewa pomarańczowe napełniały wonią powietrze, gdym przechodził na wyższe tarasy; tylko stary dozorca skarżył się gorzko na małpy, które uważają się tu za władczynie i bezwstydnie zrywają wszystkie pomarańcze.

Obecnie oczekuję nocy, sam jeden, na tych tarasach najwyższych: królowie pobudowali je i otoczyli je zbytkowną balustradą, by urządzać tu zgromadzenia, udzielać audjencji *przy księżycu*; i oto zapragnąłem poznać to miejsce *w porze właściwej*, w tym księżycu, który za chwilę wybłyśnie.

Układanie się ptactwa do snu: orłów, jastrzębi, pawi, gołębi i jaskółek, ma się już ku końcowi, i w pałacu opuszczonym zdwaja to jeszcze milczenie. Słońce, które już dawno skryło się za wysokie góry, widocznie teraz zachodzi, bowiem na placu pode mną stróże-muzułmani, którzy zawsze najdokładniej znają porę świętą Moghrebu, zwracają się obecnie ku Mekce i szykują do modlitwy wieczornej.

Jednocześnie—z dołu wznosi się raptownie ku mnie poszum jaskiniowy z krwawej świątyni: jest to również godzina modłów bramińskich i tam-tam bić poczyna, tam-tam bogini-gnoma w krwawym płaszczu.

Poczyna głuchemi uderzeniami potężnemi— i to jest hasłem dla całej orgji dźwięków szalonych; tuż za tym zawodzą kobzy, cymbały żelazne i trąba, która wciąż beczy na dwóch nutach nawoływaniem żałosnym, bez końca powtarzanym; wszystko to dochodzi do mnie. jak z pod ziemi; wzbiera, pęcznieje i przekształca się po drodze tylu spiętrzeń, tylu sal, jedna nad drugą, pustych i dźwięcznych, aż tu, na taras, się dostanie. I naraz w górze powietrznej odpowiada dzwonienie dzwonów: to mała świątyńka Szywy, która tak dzwoni w przestworzu; mieści się, jak gniazdo, tam—na jednym ze szczytów ściętych, które mnie otaczają; przytulona do tego muru powietrznego, którego zębatość znaczy się teraz, jak zęby czarnego grzebienia, na żółciznie nieba bladnącego.

Nie przypuszczałem, by w tych ruinach było tyle hałasu; tu atoli, w Indjach, wraz z zagładą miast, ze zniszczeniem świątyń, nie ustaje bieg obrzędów religijnych: bogowie są dalej obsługiwani, nawet w miejscach najbardziej opuszczonych.

Od kilku minut miałem głowę wzniesioną ku małej świątyńce dzwoniącej. A kiedym ją spuścił następnie, zadrżałem prawie, ujrzawszy na ziemi swój cień, bardzo wyraźny, raptownie rzucony; odruchem odwróciłem się, jakby dla zobaczenia, czy czasami nie zapalili poza mną, jako niespodzianki, lampy dziwnej jasności, lub czy jaki reflektor elektryczny nie rzuca swych skrawych promieni. Lecz nie! to był księżyc wielki i krągły, księżyc rokowań królewskich, o którym

zapomniałem, a który poczyna swą służbę bezpośrednio, tuż za gasnącym tak szybko dniem w tym klimacie. W tej samej chwili zarysowały się inne cienie, cienie nieruchome rzeczy, splatając się ze światłem widmowym. Księżyc na tarasie rady księżycowej rozlał majestat świetlany...

Zejdę, gdy skończy się ta dzika muzyka; żenowałaby mnie ona w przejściu samotnym o tej godzinie przez tyle schodów wązkich, przez tyle korytarzy, tyle sal tego pałacu, który winien być nocą pod władzą tylko małp i widziadeł.

A trwa długo, długo. Przez ten czas rozbłyskują wszystkie gwiazdy na niebie.

Jakże to miejsce zarazem władne i tajemnicze! I jakimi książętami marzenia byli tu ci władcy, by umyślić takie *biesiady księżycowe!*

Po pół godzinie nareszcie odgłosy tam-tam'u uciszają się, w odstępach coraz dłuższych, zarówno i beczenie trąby świętej; jeszcze chwilami zajęczy rozpacznie, lecz coraz krócej; rzekłbyś, że to konanie, że coś zamiera, wyczerpane... Cisza zalega—a tam, z dołu, z głębi doliny, którą zapełniają ruiny Amberu, dolatują fletowe, żałosne głosy szakali.

Widno tu prawie na wschodach i w salach dolnych pałacu, gdy schodzę. Wszystko tu wskroś

Z naszego konkursu fotograficznego.

(Zdjęcie p. Michała Kuścińskiego z Mikołajowa.)



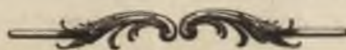
Kościół w Dziśnie, nad Dźwiną.

przesiąkłe białością księżycową, białością błękitnawą; przez małe okienka zębate wpełzają srebrne promienie, odznaczając na taflach rysunek prześliczny łęków, lub ożywiając mozaiki przygasłe na ścianach, tak, iż zda się tego wieczora wysadzone drogiemi kamykami czy kroplami wody. A w ogrodzie, nasyconym wonią kwiatów, najwyższe gałęzie drzew pomarańczowych poruszają się naraz, gdy przechodzę, z szelestem i hałasem: to małpy, zbudzone, potraciły głowy.

W dole, przy pierwszej bramie, gdzie powietrze jakby ogrzane po rzekomej świeżości na tarasie, oczekują moi przewodnicy, już na koniach i z lancami w garści. Odjeżdżamy spokojną nocną wyprawą do Jeypory, którą stanowczo porzucę dnia jutrzejszego.

Nie pojadę do Bekaniru, jakem to pierwej ułożył, sto mil stąd odległego, bowiem tam groza głodowa dosięgła szczytu i ulice zasłane trupami. Dosyć już na to patrzałem! Zawrócę w krainy mniej zniszczone, gdzie blizkość morza Bengalskiego ratuje jeszcze życie.

(C. d. n.)



Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej.

napisał
MARJUSZ ZARUSKI,
szturman marynarki handlowej.

(Ciąg dalszy.)

Były to więc statki, z naszego punktu widzenia, wręcz małe.

Usiłowania te pierwszych teoretyków żeglarstwa, poparte znakomicie aktem nawigacyjnym z r. 1651, zakazującym przewozu towarów na innych okrętach prócz angielskich, stały się podwaliną dzisiejszej morskiej potęgi Anglji.

Niebezpiecznym spółzawodnikiem Anglji na morzu w XVII w. była Holandja. Przewyższała ją nawet w tym czasie: na 20.000 okrętów, istniejących wówczas na całym świecie, 15,000 do 16 000 stanowiły własność Holandji; z tej liczby 7.000 statków trudniło się połowem ryb.

We Francji za Ludwika XIV nie było — rzec można—ani floty handlowej, ani wojennej. Dzięki jednak zabiegom Kolberta (Colbert), który od roku 1669 objął kierownictwo departamentu marynarki w krótkim przeciągu czasu, bo niespełna w lat 10, Francja ze skutkiem mogła stawić czoło zjednoczonym flotom Hiszpanji i Holandji. W 1681 r. Francja była już w posiadaniu 115 linjowych okrętów wojennych i 179 mniejszych, nie licząc floty handlowej. W tym czasie pozyskała ona stanowczą przewagę na morzu Śródziemnym.

Gibson, porównywając ówczesne floty Francji i Anglji, powiada, że statki francuskie są szersze i zdolne rozwinąć większą ilość żagli, angielskie natomiast mocniej są zbudowane.

To samo powtarza lord Rodis w r. 1780-ym: „okręty ich chodzą daleko lepiej od naszych i mogą zawsze być u nas na wietrze". *)

Okręty angielskie i francuskie nie przekraczały długością 178 stóp, Szwecja natomiast miała w tym czasie nieco większe okręty. Tak „Sztur-Kronan", zbudowany w 1676 roku, miał 187 ½ stóp długości, 48 ½ szerokości.

Nie bacząc na usiłowania rządów i jednostek prywatnych, sztuka żeglowania, a zwłaszcza budownictwo okrętowe, pozostawiały jeszcze wiele do życzenia. Świadczy o tym wypadek ze szwedzkim 80-działowym okrętem „Waza", który, pod trzema tylko marsżaglami, przy cichym wietrze, przewrócił się koło Sztokholmu. Oczywiście, że wysokość środka ciężkości jego nie odpowiadała ożagleniu. Taki sam los spotkał największy ówczesny okręt Szwecji, „Sztur-Kronan": ten przy zwrocie owersztag przewrócił się podczas bitwy morskiej i zatonął.

Z NASZEGO KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO.
(Zdjęcie p. Michała Kuścińskiego z Mikołajowa).



Kościół w Wołyńcach (w gub. witebskiej), ufundowany w r. 1702 przez Jerzego Szczytta, wojskiego połockiego, i żonę jego, Annę z Hlasków, hojnie uposażony; zarządzający nim O.O. Dominikanie utrzymywali szkołę, która przetrwała do r. 1836.

*) To znaczy: mogą żaglować daleko ostrzej pod wiatr.

(Przyp. aut.)

Nie można temu dziwić się bardzo, jeżeli się zważy, że, nie bacząc na rozwój żeglarstwa w ciągu następnych dwóch wieków, angielska marynarka wojenna w ubiegłym jeszcze stuleciu mogła się poszczycić posiadaniem w liczbie swych statków „pływających trumien". Takim mianem ochrzciła fama stare brygi dziesięciodziałowe, znane z częstych wypadków i awarji.

(C. d. n.)



Książki i Czasopisma.

Wiadomości fotograficzne. Zeszyt 17-ty r. b. w całości poświęcono powszechnej wystawie fotograficznej w Krakowie. Wyróżnia się artykuł p. Jana Czarneckiego „Fotografja w służbie sztuki i archeologji". Autor wzywa rzesze amatorów-fotografów, aby popularyzowały w pięknych zdjęciach rozproszone po całym kraju: obrazy dawnych i spółczesnych malarzy, zabytki rzeźby, pozostałości architektury gotyku i renesansu, zabytki kościelne, dzieła złotnicze, snycerskie, ślusarskie lub stolarskie, o ile noszą na sobie piętno artyzmu i pokost dawnych epok. Autor wyraża nadzieję, że już najbliższa wystawa fotograficzna przyniesie obficie zasilony dział historji sztuki i zabytków. Oby!... Światłodruk („Dzieci huculskie"), wyjątkowo, zamazany.

Wydawnictwo M. Arcta p. t. **Książki dla wszystkich**, rozrastając się ilościowo, zagarnia wszelkie odłamy wiedzy, popularnie przedstawionej na użytek kół szerokich, i piśmiennictwa nadobnego. Świeżo ukazały się tomiki №№: 154, 155, 157, 169, 170, 177, 184, 191 i 194, w których mieszczą się poniżej wymienione utwory.

Odysseja, znakomity poemat Homera, streścił Wrzesień, przeplatając swe opowiadanie strofami pięknego przekładu rymowanego, pióra Lucjana Siemieńskiego. (Str. 178, cena kop. 25.)

Joyzella, sztuka w 5-ciu aktach Maurycego Maeterlincka, w przekładzie A. L. Akcja rozgrywa się pomiędzy 4-ma osobami. Tłumaczenie polskie każe się domyślać, pod skromnemi inicjałami, istotnego poety, wcielającego się w ducha mistyka-dramaturga. (Str. 104, cena kop. 20.)

Antygona, nieśmiertelna tragedja Sofoklesa, w przekładzie K. Morawskiego, poprzedzona krótką ale pełną treści przedmową i objaśnieniami p. Adolfa Strzeleckiego. (Str. 77, cena kop. 15.)

Jan Śniadecki. Życie i dzieła. Napisał Stanisław Brzozowski. Książeczka—w myśl założenia autora—daje obraz działalności publicznej, charakteryzuje właściwości umysłowe, działalność pisarską i poglądy filozoficzne „jednego z budowniczych nowoczesnej kultury polskiej," Jana Śniadeckiego. Portrecik uczonego zdobi broszurkę. (Str. 147, cena kop. 25.)

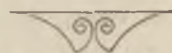
Ktokolwiek zdobył się na prenumerowanie dziennika lub tygodnika, spotyka się w nim z wielu wyrazami i przysłowiami obcemi, mającemi prawo obywatelstwa w gronie osób inteligientnych, a niezrozumiałemi dla tych, co nie znają języków obcych. Tym wielkie odda usługi *„Słowniczek wyrażeń i przysłów cudzoziemskich"* M. Arcta, stanowiący wyciąg ze „Słownika 20,000 wyrazów obcych". (Str. 126, cena kop. 25.)

Macedonja i macedończycy. Napisał A. Miecznik. I barwne pióro szan. autora, i jego cenną pracę pod tytułem powyższym, znają stali czytelnicy naszego pisma Zarówno tej pracy, jak i wielu innym w „Książkach dla wszystkich", przydałyby się, bodaj nieliczne, obrazki, choćby kosztem podwyższenia ceny o kilka kopiejek na tomiku. (Str. 116, cena kop. 20.)

Z samych ilustracji—jak przystało—składa się *Kieszonkowy atlasik botaniczny:* na XII tablicach, zgrupowano około 140 roślin naszej flory w barwach naturalnych, dając, obok podpisów polskich, nazwy w języku łacińskim. Nieoceniony pożytek osiągnąć mogą gosposie nasze z tablic grzybów jadalnych i jadowitych; lepiej, niż wszelkie opisy tych ostatnich, ostrzeże pokaz metodą poglądową. Cena atlasiku kop. 30.

Zarówno młodzieży szkolnej, jak i samoukom, coraz liczniejszym, przy nauce języka ojczystego, zalecamy, wydane świeżo w tymże wydawnictwie M. Arcta, książeczki, doskonale opracowane przez Henryka Gallego, p. t. *Krótka stylistyka wraz z teorją wierszowania* (Str. 78, cena kop. 15) tudzież *Teorja prozy i poezji w zarysie* (Str. 132, cena kop. 25.)

K. H.





Andamanowie.

Gromada wulkaniczno-błotnistych wysp Andamańskich w zatoce Bengalskiej, zaludniona szczepem o barwie skóry jednostajnie czarnej (negrytosi—szczep pokrewny murzynom australijskim), z którą olśniewająca białość zębów i gałek ocznych stoi w rażącej sprzeczności, zasługuje ze względów etnologicznych na miano „Raju".

Negrytosi andamańscy nie mają dotychczas świadomości grzechu. Pieniądze, odzież, mieszkanie, stanowią dla nich kwestje nietylko obojętne, ale wprost nieznane. Łuk, sieci, strzały, zaspokajają ich potrzeby materjalne, duchownych zaś nie posiadają zgoła, tak dalece, iż nawet religji nie mają żadnej.

Umarłych grzebią; po dokonanym jednak rozkładzie ciała, wyciągają trupa z dołu, odejmują mu czaszkę, zawieszając ją na szyi pozostałej córki.

Podróżnik Jagor podaje o ludzie tym następujące szczegóły.

Andaman otrzymuje w łonie matki imię Hira i nosi je do wieku dojrzałego. Odtąd zwie się Guma-hira. Z chwilą wyboru towarzyszki życia, Guma-hira zmienia się na Meja-hira. Nazwa, dawana starcom, brzmi: Meja-jangi-hira. O ile urodzone dziecię okaże się dziewczynką, dają jej imię Chagra-hira, które zachowuje do czasu zaślubin.

Niemowlę andamańskie podlega prawidłowemu „kształtowania ciała" od pierwszego dnia życia. Ojciec dokonywa najczęściej sam poniżej opisanego masażu:

Ogrzawszy obie dłonie nad ogniem lub płomieniem pochodni żywicznej, ujmuje lewą szczęki dzieciaka i opiera silnie wskazujący palec na jego osadzie nosowej, którą stara się wtłaczać: prawą naciska najpierw czoło, potym skronie.



Andamanowie „polujący" na ryby.

Po masażu główki, oraz nosa, który pod naciskiem palców ojcowskich musi z czasem przyjąć kształt zadarty, żywe kleszcze przenoszą się i ściskają z kolei każdy staw rąk i nóg dziecka, wypukłości na zgięciu łokcia, czubek kolana, kostek i t. d. Po każdej z tych operacji kładą je jeszcze na brzuszek, aby domacać się i ścisnąć koniec stosu pacierzowego.

Wszystkie czynności, do jakich andamanowie używają z czasem dzieci, zmierzają do tego, aby z nich uczynić dobrych strzelców i łowców zwierzyny.

Gdy małe dziewczęta łowią w ręczne sieci drobne ryby w szczelinach raf koralowych i w bagnach, do chłopców początkowo należy wyśledzenie rojów pszczelnych i podkurzanie ich dymem.

W dziesiątym roku życia każdy z nich otrzymuje mały łuk i strzały, z których początkowo strzela, dla wprawy, w banany.

Andamanowie nago ścigają zwierzę przez gąszcz dziewiczego lasu; narażałoby ich to często na bolesne okaleczenia, więc zapobiegają temu, znieczulając ciało w sposób oryginalny, mianowicie nacinają małym chłopcom gęsto skórę co pewien czas: małe ranki, zrastając się, tworzą twarde blizny.

Te operacje, powtarzane przez szereg lat, wytwarzają na ciele dorastającego młodzieńca rodzaj naturalnego pancerza przeciw cierniom i kolczastym roślinom południa.

Opisywani wyspiarze byli niegdyś ludożercami, obecnie tylko wyjątkowe jednostki uważają mięso ludzkie za przysmak.

Ogół żywi się głównie mięsem dzików, niedźwiedzi i żółwi szylkretowych. Prócz tego jedzą ryby, ptaki i zwierzynę drobną; andaman bowiem, wyszedłszy na łowy, zabija wszystko, co napotyka na drodze.

Świeżo zastrzeloną sztukę ćwiartują i pieką natychmiast. Mięso zaś żółwi, wydobyte ze skorupy, pokrajane na kawałki, podlega gotowaniu. Przyrządzanie tego pożywienia odbywa się w sposób prosty: skorupę żółwiową, starannie wymytą i napełnioną wodą, kładzie się na trzech kamieniach, między któremi rozniecają ogień; poczym wkładają w tę skorupę, jak w rondel, kilkakrotnie wypłókanego żółwia. Ugotowaną potrawę czerpią oczyszczonemi łupinami orzechów kokosowych. Każdy smaczniejszy kąsek mięsa podają sobie z rąk do rąk; wszyscy kolejno muszą go nadgryzać. I pies gromady bierze udział w uczcie; andaman nie brzydzi się dojeść kawałka, pozostawionego przez psa.

Drobny i wątły organizm tego plemienia wyniszcza się prędko. W razie choroby, która najczęściej zabija każdego, smarują całe ciało tłuszczem z żółwia.

Odkąd anglicy zawładnęli temi wyspami, próbowano wzmocnić przez porter i piwo karłowatą ich ludność; próby te jednak nie dały pożądanego wyniku i andamanowie skazani są na wymarcie.

Z ojczyzny ich, zamienionej przez nowych właścicieli na kolonję karną, wywożą: perły, orzechy kokosowe, budulec, drzewo marmurowe i atłasowe. Pierwsze jest centkowane żółtemi i ciemnobronzowemi plamami, drugie przypomina barwą naszą jedlinę (jasno-żółtą) i ma połysk matowy. Birmani wykupują je na laski, wyrzynane z jednej sztuki.

Podróżnik.



ROZMAITOSCI.

Pożytek kart pocztowych. Karty pocztowe, dziś tak rozpowszechnione, o ile przedstawiają rzecz pouczającą lub estetyczną, są nabytkiem pożądanym. Przyklasnąć więc należy rozpowszechnieniu kart pocztowych z podobiznami ludzi zasłużonych, z kopjami dzieł sztuki, z widokami i typami krajowemi itp.

Niedawno ukazały się ładne karty pocztowe, wyobrażające mapy oddzielnych gubernji Królestwa Polskiego. Dziś wiele osób kupuje karty pocztowe nie dlatego jedynie, aby je przesłać komu, lecz aby tanim kosztem wzbogacić zbiory widoków miast i zabytków sztuki w różnych okolicach, nabywanie bowiem i gromadzenie fotografji jest kosztownym.

Dlaczegoż więc w Warszawie np. nie mamy w sklepach kart pocztowych, wykonanych podług fotografji, a wyobrażających widoki Sandomierza, Włocławka, Łowicza, Kielc, Radomia itp.? Gdyby składnicy warszawscy, a za ich przykładem prowincjonalni, gromadzili do sprzedaży zbiory ładnych kart pocztowych, wyobrażających różne miasta kraju i ich zabytki, gdyby zbiory te segregowali na serje i tanio sprzedawali, niewątpliwie mieliby korzyść dla swej kieszeni i przysłużyliby się tym, którzy tanim kosztem pragną mieć komplety widoków, dla pożytku własnego i oglądających.

W. K.

Krzyż od pioruna. W m. Morristown, w stanie New Yersey Ameryki północnej, pewien młodzieniec rażony był piorunem. Przewieziono go w stanie nieprzytomnym do szpitala Wszystkich Świętych. Tam, po rozebraniu rażonego, okazało się, że ma na plecach ranę. Po chwili, gdy lekarze i dozorczynie zajęci byli opatrywaniem miejsca ranionego, na samym środku pleców, pomiędzy dwiema łopatkami, zaczął ujawniać się dokładny wizerunek krucyfiksu, a na nim postać ukrzyżowanego Chrystusa. Świadków tego dziwnego zjawiska ogarnęło zdumienie. Zdaniem uczonych, powierzchnia ciała porażonego stała się skutkiem pioruna tak czułą, jak płyta fotograficzna, a ponieważ właśnie naprzeciw łóżka, na którym dokonywano opatrunku, wisiał krucyfiks, przeto wizerunek odbił się na plecach Parkera. Zjawisko tego rodzaju nieraz już notowały kroniki naukowe. Krucyfiks odbił się z taką dokładnością, że znać nawet gwoździe w rękach i nogach Zbawiciela.

Świecące mięso. Już w 1592 r. zauważono i opisywano zjawisko świecenia mięsa, nie umiano jednak wytłómaczyć sobie dokładnie jego istoty. Prof. Hans Molisch z Pragi, w celu rozwiązania tej kwestji, poddał próbom kilka gatunków mięsa, umieszczonego w słonej wodzie: okazało się, że świecenie powoduje laseczník *Micrococcus phosphoreus Cohn.* Jest to organizm, rozwijający się najlepiej w temperaturze 16°, a zamierający przy 39° po 48 godzinnym przetrzymaniu w odżywczej żelatynie. Młode kultury laseczníka tego mają w temperaturach od 5°—20° świecić tak silnie, że nawet daje się w ciemnym pokoju widzieć niebieskawo-zielone światło, wywołane przez nie.

Szybka odbudowa spalonego miasta. Przed kilku laty stała się miejscowość Brotterode okręgu Szmalkalden pastwą płomieni. Przy robotach około odbudowania miasta dowóz materjałów budowlanych sprawiał niezmierne trudności. Wywoływał on bardzo wielkie koszta; prócz tego dwa, jedynie rozporządzalne, gościńce okazały się w bardzo krótkim czasie niemożliwemi do użytku.

Celem usunięcia tych przeszkód, ministerjum wojny poleciło brygadzie kolejowej, by połączyła miejscowość Brotterode koleją polową ze stacją kolei w Werushausen, przyczym po części posługiwano się gościńcem gminnym, w niektórych miejscach bardzo niedogodnym.

Tor tej kolei, 14·5 *km* długi, posiadał szerokość 60 *cm* i składał się z części równinowej o najwyższym wzniesieniu 1 : 20 i z części górskiej o najw. wzn. 1 : 12·5.— Budowę nasypów rozpoczęto w styczniu, właściwą zaś budowę 21 marca; otwarcie ruchu towarowego nastąpiło 11 maja, ruchu osobowego zaś 15 czerwca tegoż roku, po należytym wyszkoleniu służby.

Budowy całej tej linji, do której składu wchodzą 3 stacje i dwa mosty żelazne o łącznej długości 64 *m.*, dokonało w 37 dniach roboczych 106 żołnierzy, którzy w tym czasie ładowali materjały budowlane, uskuteczniali budowę dworca i zakładali telefony.

Ruch prowadzony był małemi lokomotywami, które na przestrzeni stromej 5·5 *km* długiej przewoziły 3 wozy o wadze po 5 t., na dziewięciokilometrowej zaś drodze płaskiej 6 do 8 wozów, w wyjątkowych zaś razach nawet 16. Na drodze stromej wynosiła chyżość jazdy 10 *km* na godzinę (= 2·78*m/s*), na drodze płaskiej 12 *km* na godzinę (=3·33*m/s*); niejednokrotnie jednak osiągały pociągi chyżość nawet 20 *km* na godzinę (=5·56*m/s*).

W czasie od 11 maja do 30 września przewieziono tą koleją, posiadającą tylko 60 *cmtr* szerokości toru, 17.000 ton materjałów, a od 15 czerwca do 20 września ponad to 10.000 osób. Największy transport dzienny wynosił 64 wozów z ciężarem 320 ton netto, gdy średni transport wynosił 155 t. netto; przyczym należy zauważyć, że mała ilość lokomotyw zacieśniała granice ruchu, że w godzinach południowych istniały dłuższe przerwy, że wreszcie o zmierzchu ruch zupełnie ustawał.

Tkaniny azbestowe nabierają od czasu pożaru teatru w Chicago coraz większej wziętości. *Brunner Monatschrift für Textilindustrie* omawia ich zastosowanie. Dekoracje teatralne, aby były ogniotrwałe, muszą się składać z czystego azbestu bez domieszek włókien roślinnych, które w takich tkaninach spotyka się w ilości 5—20% i które wtedy w znacznym stopniu odbierają tkaninie ogniotrwałość. Najlepszego do tego celu azbestu dostarczają kopalnie w Kanadzie. Przędzalnictwo asbestu jest bardzo zbliżone do przeróbki innych włókien tkackich i tkaniny z niego wyrobione są silne i nie ulegają działaniu ognia. Ponieważ jednak azbest w bardzo wysokiej temperaturze nabiera pewnej kruchości, pewna amerykańska fabryka wykonywa przędzę, skręcaną z dwóch nitek azbestowych z jednym drucikiem, zrobionym z bardzo trudno topliwego bronzu. Taka przędza jest zupełnie ogniotrwała.

Nowe balony. We Włoszech utworzyło się towarzystwo akcyjne, mające na celu budowę nowego balonu według planu aeronauty włoskiego, *Almerica da Schio.*

Towarzystwo wspomniane rozporządza już obecnie znacznym kapitałem, dochodzącym do 50.000 franków. Z pomocą finansową pośpieszył król włoski i jego małżonka, dając tym sposobem zachętę szerokiemu ogółowi do poparcia nowych zabiegów. Izba handlowa w Vinceży, oraz włoskie ministerjum komunikacji również złoży sumy poważne. Balon *Almerica da Schio* jest już prawie gotowy. Budową swoją i rozmiarami przypomina on balony znanego aeronauty paryskiego, Santosa Dumonta, sporządzony z jedwabiu wernikso-wego. Długość balonu wynosi 38 metrów, obwód w miejscu najszerszym 24 metry, powierzchnia — 716 metrów kwadratowych, wreszcie objętość — 1,208 metrów sześciennych. Na powłokę balonu użyto specjalnej, umyślnie na ten cel przygotowanej, tkaniny, mającej 85 centimetrów szerokości. Zużyto jej 1077 metrów. Balon cały pokryty jest siecią ze sznura jedwabnego. Łódź ma kształt worka; sporządzono ją z rur aluminiowych i drutu stalowego. Długość jej wynosi 17,6 metra. Motor, służący do poruszania śruby, mającej półpięta metra średnicy, rozwija siłę dwunastu koni parowych. Włosi wielce są dumni z tego przedsiębierstwa, dotychczas bowiem w zakresie sztuki aeronautycznej największe zasługi położyli francuzi i niemcy.

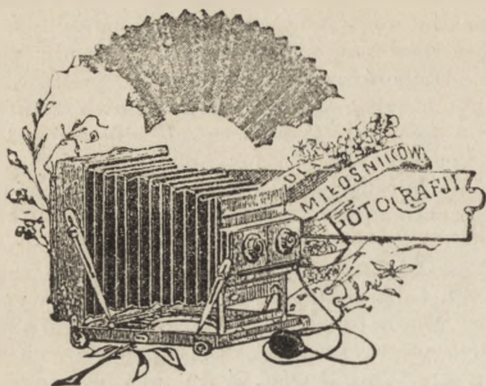
Z nowym pomysłem wystąpił anglik Goudron, budujący w Londynie balon do spółki z niemcem, Beestmanem. Wychodzą oni z zasady, iż mały balon łatwiej daje się kierować, niż wielki, zbudowali zatym statek napowietrzny, mający tylko 20 metrów długości i 368 metrów sześciennych objętości. Ciężar tego balonu, wraz ze wszystkiemi aparatami pomocniczemi, dochodzi do 400 kilogramów. Najmniejszy to jest ze wszystkich balonów, jakie dotychczas zbudowano. Obraca on trzy śruby powietrzne, jedną z tyłu, dwie zaś po obu bokach łodzi. Wykonywają one około dwieście obrotów na minutę. Zarówno motor, jak i śruby w tym balonie, zdaniem rzeczoznawców, stanowią ważny krok naprzód w dziedzinie aeronautyki. Próby z nowemi balonami odbyć się mają wkrótce.

Złoto na Węgrzech. Na stoku góry „Kamen", w okolicy między miejscem kąpielowym „Rahó" a „Bertebas" na Węgrzech, otwarto nową stolnię celem eksploatacji srebra i złota. Próba dała świetne wyniki a poszukiwacz na miejscu daje informacje.

Kolej, najbardziej na północ wysunięta na ziemi. Dnia 14 lipca 1903, otwarto uroczyście, w obecności króla Szwecji i Norwegji Oskara, linję koleją z Gellivara do Narvik, jako dalszy ciąg otwartej w roku 1891 kolei Lulea Gellivara. Nowa linja, w swojej najbardziej na północ wysuniętej części, sięga 3 *km* za Narvik do pół. szer. gieogr. 68°28' i przekracza koło bieguna północnego, tworząc połączenie Bałtyku z Oceanem Atlantyckim.

Cel linii nowej: eksploatacja pokładów kruszcowych, turystyka i względy strategiczne. Kolej, ta wyróżnia się budową licznych galerji z drewna i kamieni dla ochrony przeciw śniegom. W części najbardziej na północ wysuniętej przez „Nordalsende" znajduje się najdalej na północy położony most na ziemi o 10 otworach po 18 *m* światła na 9 ciu żelaznych filarach, o toku szyn, wznoszącym się 30 *m* nad podeszwą kotliny.





Jak zostać fotografem?

VIII.

Przy zdejmowaniu grup, lub oddzielnych osób, najwłaściwiej ustawiać aparat tak, aby objektyw jego był mniej więcej na jednej linji z piersiami zdejmowanej osoby; zbytnie podwyższanie aparatu lub opuszczanie go psuje perspektywę. Przy zdjęciu domów należy ustawić aparat tak, ażeby objektyw był skierowany ku środkowej części budowli i stał mniej więcej na wysokości wzrostu człowieka. Przy zdejmowaniu osób można aparat ustawiać nieco pochyło, natomiast przy zdjęciu budowli potrzeba ustawić go ściśle poziomo podług libelli, a jeżeli nie możemy otrzymać na matówce wyższych części budowli (dachu, wież i t. p.) lub dolnych, należy podnosić w tym celu lub opuszczać przednią deskę kamery, która jest zwykle ruchomą i mocuje się śrubką. Przy aparatach składanych, posiadających miechy koniczne nie kwadratowe, nie należy zbytnio podnosić deski, gdyż wówczas miech kamery może nam zasłonić (obciąć) obraz na kliszy. Przy miechach kwadratowych można podnosić lub opuszczać deskę dowolnie. Przy nastawianiu aparatu na ostrość należy zawsze wyszukać najlepszego stanowiska względem zdejmowanego przedmiotu. Stanowisko to powinno być najlepsze i ze względu estetycznego, i ze względu technicznego. A więc powinna być dobra perspektywa, dobra ostrość, dobre oświetlenie harmonijne. Wszelkie przedmioty wypukłe wychodzą wyraziściej, jeżeli, zdejmując je *en face*, uwidocznia się choć cokolwiek boczne części. Przedmioty wązkie a długie należy zdejmować w pozycji trzy czwarte lub w ostateczności z boku, np. powóz, tramwaj, pociąg kolei. Widoki całkowite wychodzą również ładnie, jeżeli je robimy z wysokości, z t. z. „lotu ptaka". Nieraz klisza. najlepiej wykończona, nie da pięknej odbitki, jeżeli przy zdjęciu, a właściwie nastawieniu, aparatu, przedmiot lub widok zdejmowany będzie wzięty ze złego punktu i źle oświetlony. Osoby, obdarzone dobrym, spostrzegawczym okiem, powinny, stanąwszy przed aparatem, spojrzeć na zdejmowany przedmiot i ocenić jego stanowisko oraz oświetlenie, czy przedstawia się ono dla oka harmonijnie, efektownie, czy nieefektownie. Jeżeli nie wierzymy swemu oku, można tu wziąć do pomocy lornetkę. Taki przegląd pozycji ułatwia nastawianie ze strony estetycznej i technicznej. Mając słońce lub w ogóle źródło światła (np. światło sztuczne) z boku aparatu lub za aparatem, świecące tak, aby promienie jego nie padały w objektyw, lecz na zdejmowany przedmiot, należy uważać, aby to światło było harmonijne. O ile powinniśmy starać się, aby zdjęcia wykonywać w świetle dobrym, o tyle należy uważać, aby światło to nie było zbyt silne, rażące. Jest to rzeczą najtrudniejszą wybrać dla każdego rodzaju zdjęć takie światło, aby ono, wskutek słabej mocy lub zbytniej siły, nie dawało na matówce przykrych dla oka kontrastów, ażeby nie dawało białych i czarnych plam, lecz harmonijne przejścia od świateł do cieni. Jeżeli nie możemy otrzymać odpowiedniego pięknego oświetlenia, to lepiej zdjęcie odłożyć do stosowniejszej chwili, lub nabytą wprawą uregulować światło obraniem innego stanowiska, a jeżeli się da—to ocienieniem zdejmowanego przedmiotu lub jego przesunięciem. Przy zdjęciach pod otwartym niebem zauważyć musimy, iż, im wyżej stoi słońce, tym oświetlenie jest silniejsze a zatym daje nieprzyjemne dla oka kontrasty. Przedmioty, zdejmowane w słońcu, a zwłaszcza jasne, otrzymują nieprzyjemne, ciemne plamy od cienia, a jeżeli plam tych niema, to przez zbytnie odbijanie światła zatracają szczegóły rysunku i zlewają się z otaczającym tłem nieba. Złe, nieharmonijne oświetlenie nietylko że przeszkadza nam do otrzymania estetycznego obrazu, lecz utrudnia samo techniczne nastawienie na ostrość, którą nam trudniej dostrzedz na matówce przy zbyt jasnych i zbyt ciemnych częściach obrazu. W pełnym słońcu zdejmować jedynie należy ciemne i sczerniałe budowle, przedmioty ciemne i kopje obrazów, malowanych jaskrawemi, różnorodnemi barwami. Użycie djafragmy przy nastawianiu powinno być umiarkowane, zwłaszcza jeżeli objektyw przy pełnym otworze kryje ostro żądany format.

Użycie mniejszej djafrygmy w powyższym przypadku tylko wtedy potrzebne, jeżeli mamy fotografować przedmioty, leżące w różnej odległości od aparatu; przez mniejszą djafragmę otrzymujemy głębokość ogniska, t. j. dajemy przedmiotom bliższym i dalszym pożądaną ostrość.

Wł. Karoli.

Przepisy przygotowania wywoływaczy skoncentrowanych.

Hydrochinon.

Wody	150 cm³
Siarczynu sodu	40 grm
Hydrochinonu	6 grm
Węglanu sodu	50 grm.

Rozpuścić w podanym porządku. Do użytku zmieszać 1 część skoncentrowanego wywoływacza z 4-ma lub 5 częściami wody.

Rodinal.

Wody	1000 cm³
Siarczynu sodu	80 grm
Węglanu sodu	80 grm
Paramidofenolu	4 grm

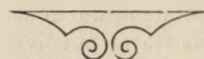
Do użycia zmieszać 1 część z 25 częściami wody.

Pyrokatechina.

Siarczynu sodu	100 grm
Wodzianu (wodorotlenku) sodu czyli sody żrącej	14 grm
Wody	400 cm³

Po zupełnym rozpuszczeniu podanych ciał, dodać 20 grm pyrokatechiny. Do użytku mieszać 1 część z 15 częściami wody.

Podał Leon Halpern.



Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo."



„Restado estas morto."

Kursa języka Esperanto.

W tymże czasopiśmie („Lingvo Internacia"), z tegoż miesiąca i roku, spotykamy nadto o wiele ważniejszą wiadomość, dotyczącą *pierwszych* w Europie kursów języka Esperanto. Z artykułu mianowicie wielce zasłużonego w swym czasie esperantysty, p. W. Gerneta, z Odesy, p. t. „*Publikaj kursoj de Esperanto*"—dowiadujemy się, że, wyjednawszy od kuratora Okręgu naukowego odpowiednie pozwolenie urzędowe, rozpoczął on w Odesie kursa języka Esperanto 7-go grudnia (n. st.) 1897 roku, w miejscowej szkole handlowej członka odeskiego Towarzystwa esperantycznego, Ch. I. Hochmana. Na kurs ten, który ukończył się z ostatnim dniem grudnia tegoż roku, uczęszczało stale około 45 słuchaczy, a opłata za 8 lekcji całkowitego kursu wynosiła po rublu od osoby. W ślad za pierwszym tym kursem, miały się wkrótce odbyć jeszcze dwa kursa.

Równocześnie niemal powstają podobneż kursa języka „Esperanto" przy klubie poliglotycznym w Brukseli (wykłada Lucien Blanjean) oraz, dzięki panu Paul Lacroix, prezesowi Towarzystwa handlu i przemysłu, przy szkole handlowej w Grenoble, we Francji, pod egidą *L'Association du Commerce et de l'Indrustrie* (wykłada Emil Roux), gdzie gromadzą zwykle więcej niż stu pięćdziesięciu słuchaczy.

O kilka tygodni później powstają takież kursa w Charleroi, w Belgji (wykłada M. Roclandt), oraz 27 marca 1898 roku w Spaa, gdzie, wobec bardzo licznie zgromadzonej publiczności, inauguruje je w *Cercle Artistique et Littéraire*—p. Ch. Rault.

24 sierpnia 1898 roku niepospolicie zasłużona esperantystka francuska, ówczesna nauczycielka wyższej szkoły żeńskiej w Limoges (Francja), panna Zabilon d'Her, rozpoczyna przy tejże szkole pierwsze kursa języka Esperanto, przeznaczone wyłącznie dla panien.

W tymże samym Limoges redaktor tamtejszego, mówiąc nawiasem b. ciekawego, czasopisma *La Plume Sténographique*—p. François Canet, rozpoczyna w parę miesięcy potym i aż do chwili obecnej prowadzi niezmordowanie, takież kursa języka Esperanto przy miejscowej praktycznej szkole handlowej i przemysłowej

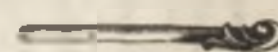
W listopadzie 1899 roku prof. E Louvet rozpoczyna w Lille (Francja) pod egidą *L'Union Française de la Jeunesse*, w auli tamtejszego uniwersytetu, prywatny tym razem, kurs języka Esperanto.

W końcu roku 1899 czy też na początku 1900 dr. E. Etzel, redaktor jednego z czasopism szwedzkich, organizuje w Sztokholmie, przy miejscowym „Instytucie robotniczym", kursa języka Esperanto, na które uczęszcza jak najpilniej kilkudziesięciu słuchaczy-robotników.

W początkach znów—jeśli się nie mylimy—roku 1900, prof. Lapeyre z Valence (Francja) urządza w tymże mieście kursa języka Esperanto dla uczącej się młodzieży a w października tegoż roku rozpoczyna kurs przy miejscowym Towarzystwie politechnicznym.

W tymże samym wreszcie roku 1900 dwaj bardzo wybitni profesorowie uniwersytetu w Dijon: dr. Charles Méray, czł.-koresp. Akademji francuskiej, i dr. Charles Lambert, „maître de conférences à la Faculté des Lettres"—pierwsi w Europie wprowadzają stałe, urzędowe wykłady jęzka Esperanto w uniwersytecie dižońskim, które z prawdziwie młodzieńczym zapałem podejmuje odtąd prof. Cdarles Lambert

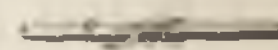
(C. d. n.) *A. B B.*



Odpowiedzi Redakcji.

W-ny F. Dorożyński. Wyrobienie patentu na wynalazek wymaga wielu formalności, które może załatwić pomyślnie tylko specjalne biuro, mające rozległą praktykę w tym względzie. Radzimy więc udać się do biura p.p. Włodarkiewicza i Siekluckiego (Włodzimierska, Nr. 16), a wynik będzie z pewnością pomyślny.

W-ny R. Z. w Dąbrowie Górniczej. Najlepiej bezpośrednio—przez administrację naszą. Księgarnia wnosi nam prenumeratę zaledwie przy końcu kwartału.



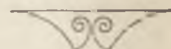
Odpowiedzi Administracji.

W-ny P. Małowiecki w Nowym Jorku. Dolara otrzymaliśmy, „Bibliotekę podróży" i numer zagubiony wysyłamy. Szczęść Boże na obczyźnie!

W-ny P. Z. Kuczewski w Hrubieszowie. Roczniki 1903 są jeszcze, w niewielkiej ilości (rb. 5 z przesyłką), „Biblioteki podróży" również (2 rb. 50 k. z przesyłką). Pismo wysyłamy stale.

W-na Eliza Koźmińska w Deraźni. Teraz szanowna pani ma komplet „Bibljoteki podróży"—zaręczamy. Przy układaniu zeszytów prosimy uważać na numerację stronic, nie zaś na dolną paginację zeszytów: przez omyłkę drukarni jeden zeszyt wykazano dwukrotnie, jeden zaś Nr. opuszczono.

W-ny Edward Dziekoński w Mazur. Będzie się należało za tygodnik z Bibljoteką rb 1 kop. 88.



Czas już składać przedpłatę na 4=ty (ostatni) kwartał r. b.

Wczesne uregulowanie nakładu jest dla wydawcy sprawą pierwszorzędnej doniosłości; nie wątpimy też, że prawdziwi przyjaciele pisma naszego pośpieszą z odnowieniem przedpłaty.

Treść № 38. Na Dalekim Wschodzie, przez *Józefa Gieysztora* (z rysunkami). — Z podróży do Afryki, przez *Leopolda Janikowskiego.* — Indje, przez *Piotra Loti'ego*, tłómaczył *Józef Jankowski.* — Z naszego konkursu fotograficznego (rysunki). — Rys historyczny rozwoju sztuki żeglarskiej, napisał *Marjusz Zaruski.* — Książki i Czasopisma, przez *K. H.*—Panorama ludów, (Andamanowie), przez *Podróżnika* (z rysunkiem).—Rozmaitości. — Dla miłośników fotografji, przez *Wł. Karolego.*—Kronika esperantyczna, przez *A. B. B.*—Odpowiedzi Redakcji.—Odpowiedzi Administracji.—Ogłoszenia.

Treść „Bibljoteki ilustrowanej podróży i powieści:" Rozbójnik Marko, przez L. Boussenarda, tłómaczyła M. Naimska (str. 149-156).—Tajemnica burzy morskiej, przez Sylwana Cobba (str. 89—96).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata“: *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb.* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści“:** *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 50.— *Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 88. *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop.* 20—*Cena numeru kop.* 10.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 2 Сентября 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.